Promyki nadziei

Nr 19 jesień 2014

Kwartalnik Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci"

FUNDACJA Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci
www.hospicjum.wroc.pl

Dla Laury nie ma rzeczy niemożliwych. Za to właśnie kochamy naszą córeczkę i nie zamienilibyśmy jej na żadną inną zdrową.

O życiu z Laurą przeczytacie na stronie 4.

Naszą główną zasadą jest pozwolić dziecku być dzieckiem, bo jest się nim raz w życiu. Dlatego staramy się jak najwięcej rzeczy robić zupełnie zwyczajnie.

Opowieść o Mai znajdziecie na stronie 5.

Sami poznawaliśmy potrzeby Paulinki. Mimo niekorzystnych prognoz mocno wierzyliśmy, że z Paulinką będzie inaczej, że będziemy robić postępy.

Historia Paulinki czeka na Was na stronie 6.

Pamięć o zmarłych

Gimnazjum, do którego uczęszczał Kiler mieściło się w półwiecznym budynku, który – mówiąc oględnie – do najpiękniejszych nie należał. Wprawdzie, zgodnie z założeniem pomysłodawców, przysługiwał mu tytuł pomnika, ale jednak nie przedstawiał większej wartości zabytkowej. Dziś już tylko starsze pokolenie pamięta, jak to w latach 60. minionego stulecia, w całej Polsce Ludowej – niczym grzyby po deszczu – wyrastały kolejne szkoły. Nazwano je „tysiąclatkami", bo miało ich być tysiąc i miały być pomnikiem Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Dawniejszy powód dumy władzy ludowej po 50 latach funkcjonowania wyraźnie wołał o konieczność remontu. Odrapany budynek, ozdobiony tu i ówdzie niewielkimi pęknięciami doczekał się już wymiany okien. Teraz potrzebne były kolejne działania, które lekarze opatrzyliby krótkim: CITO! Wśród tych pilnych zaleceń nie było rabaty kwiatowej, ale ją akurat udało się stworzyć. I to wcale nie ze środków budżetowych tzw. Organu Prowadzącego, ani też z dotacji UE. Była to zasługa Kilera, Ady, ks. Andrzeja i wielu innych, których udało im się przekonać do włączenia się w akcję *Pola Nadziei*. Rozpoczął ją apel, na którym przedstawiciele Hospicjum opowiedzieli o swojej pracy. Później była zbiórka cebulek żonkilowych, przygotowanie rabatki, sadzenie i czekanie na wiosnę.

Zanim jednak wiosna, trzeba przeżyć zimę, a wcześniej jeszcze jesień. Kiler lubił jesienne klimaty. Szczególnie bliskie, budzące wiele ciepłych skojarzeń były pierwsze dni listopada. Odkąd pamięta uroczystość Wszystkich Świętych gromadziła całą rodzinę na grobie dziadka. Przyjeżdżali wszyscy: ciotki i wujkowie, kuzyni i kuzynki, ciotki kuzynów i wujkowie kuzynek i wiele jeszcze innych osób w przeróżnych konfiguracjach rodzinnych. Część z nich chłopiec spotykał często, innych rzadziej, choć bardzo regularnie (raz do roku przy grobie dziadka). Byli też i tacy, których znał tylko z imienia i nazwiska - nawet jego rodzice gubili się w zeznaniach, kto jest kim. Jedna tylko babcia bezbłędnie rozpoznawała wszystkich. Tak czy inaczej Kilerowi te rodzinne zjazdy kojarzyły się bardzo serdecznie. Uroku dodawały tysiące odcieni jesiennej żółci i brązu oraz płonące znicze, które najatrakcyjniej prezentowały się po zmroku.

Czekał więc chłopiec z utęsknieniem na tegoroczne święta, a im wyższa cyfra widniała na październikowej stronicy kalendarza, tym większe odczuwał podniecenie. Wreszcie nadszedł upragniony 1. listopada. Skoro świt cała rodzina pospiesznie zapakowała się do samochodu i ruszyli na cmentarz do niewielkiego miasteczka niedaleko Wrocławia. Gdy dojechali na miejsce Kiler z przerażeniem stwierdził, że oto w miejscu, w którym od wieków był cmentarz, dziś funkcjonuje ogromne targowisko, z którego na każdym kroku biły po oczach informacje o promocjach, zniżkach i wyjątkowych ofertach. Przez moment można się było poczuć prawie jak w jednej z wrocławskich galerii handlowych, które – dzięki Bogu – dziś miały być zamknięte. Przebijając się przez tłum ludzi wśród licznych stoisk ze zniczami i kwiatami, minął chłopiec wolontariuszy prowadzących zbiórkę pieniężną na jakiś charytatywny cel. Przez całą tę drogę próbował sobie przypomnieć, czy w poprzednich latach nie było takiego komercyjnego wstępu, czy po prostu nie zwracał na to uwagi. Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie dotarł wreszcie do pomnika, na którym pozłacane litery informowały, że tu właśnie przed 10 laty pochowano jego dziadka. Dokoła stała już spora część rodziny. Maciej ze swoimi najbliższymi przywitali się serdecznie, a następnie przystąpili do uświęconego rytuału zapalania zniczy. Było to niebanalne wyzwanie, bo płyta nagrobna była już obficie zastawiona płonącymi świecami w różnobarwnych opakowaniach. Udało się jednak, po małych roszadach, znaleźć miejsce na dwa kolejne znicze.

Rozpoczęła się Msza święta i rozmowy trochę przycichły. Maciej próbował skupić swoją uwagę na słowach, które płynęły ze starych, zdezelowanych cmentarnych głośników. Fragment czytanej Ewangelii był swoistą deklinacją słowa „błogosławiony". Kiler znał ten fragment bardzo dobrze, bo co roku jest on czytany na cmentarzu. I – odwołując się do doświadczenia minionych lat – przewidywał, co zaraz usłyszy na kazaniu: że trzeba żyć dobrze na ziemi, aby być szczęśliwym z wszystkimi świętymi w niebie. Owa myśl o przewidywalności i banalnej powtarzalności wydała się Maćkowi profetyczna. Współgrała z oczywistością ludzkiego przemijania. *Dziś jestem, a jutro mnie nie będzie, pojutrze zabraknie nawet tych, którzy mogliby stanąć nad moim grobem* – myślał Kiler. Tymczasem ksiądz, jakby w odpowiedzi na jego myśli, przywołał zmartwychwstanie Jezusa. I tłumaczył, że religia chrześcijańska jest religią życia, nie śmierci. Nadzieja płynie z wielkanocnego poranka – Jezus po śmierci nie przestał być sobą. Tu nie ma miejsca na reinkarnację, bo przecież, gdy trzy dni po ukrzyżowaniu Jezus spotkał się z uczniami, ci rozpoznali Go, bo ciągle był tym samym człowiekiem. Tak jest z tymi, przy których grobach dziś stoimy. Oni nie przestali być sobą. Ich życie uległo zmianie, ale wciąż trwa, tyle że w innym wymiarze. I nie jest prawdą, że trwają tylko w ludzkiej pamięci. Żyją prawdziwym życiem. I czekają na nas…

Ks. Tomasz Filinowicz
Kapelan Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci
filin@poczta.onet.pl

Żegnamy dzieci, którymi opiekowaliśmy się w ostatnich miesiącach. Są w naszej pamięci.

Święto Zmarłych

I znów jak co roku, przychodzi ten dzień
większego smutku, zadumy, rozpaczy
i wszystko wokoło już nic nie znaczy,
gdy idąc alejką rozświetloną zniczami
na grobach zmarłych, z którymi się witamy.
Stajemy w zadumie nad mogiłą bliskich,
zapalamy znicze, układamy kwiaty,
a myśli biegną gdzieś tam, w zaświaty,
wspomnienia się budzą, powraca tamten czas,
gdy byliśmy razem, po tej samej stronie.
A Ciebie już nie ma nasz synku kochany,
w tym świętym dniu powinieneś być z nami,
by razem odwiedzać naszych bliskich drogich,
którzy z różnych powodów odeszli z ziemskiej drogi.
Z nadzieją czekamy na dzień ten wspaniały,
gdy po tamtej stronie spotkamy się z Tobą
nasz synku nieodżałowany.

Iwona Kościńska

Filip,
9 lat, zmarł 8.12.2013 r., pod opieką Fundacji był 60 dni

Kaja,
3 miesiące, zmarła 10.12.2013 r., pod opieką Fundacji była 23 dni

Maja,
3 lata, zmarła 30.12.2013 r., pod opieką Fundacji była 697 dni

Jakub,
10 lat, zmarł 24.02.2014 r., pod opieką Fundacji był 28 dni

Michał,
5 miesięcy, zmarł 25.02.2014 r., pod opieką Fundacji był 23 dni

Lena,
1 rok, zmarła 18.03.2014 r., pod opieką Fundacji była 268 dni

Gracjan,
5 lat, zmarł 08.05.2014 r., pod opieką Fundacji był 67 dni

Marlena,
21 lat, zmarła 25.05.2014 r., pod opieką Fundacji była 1728 dni

Marta,
1,5 roku, zmarła 05.06.2014 r., pod opieką Fundacji była 39 dni

Agnieszka,
20 lat, zmarła 10.09.2014 r., pod opieką Fundacji była 1287 dni

Mateusz,
19 lat, zmarł 18.09.2014 r., pod opieką Fundacji był 7 dni

Ryszard,
6 lat, zmarł 28.09.2014 r., pod opieką Fundacji był 7 dni

Dominika,
8 lat, zmarła 06.10.2014 r., pod opieką Fundacji była 157 dni

Maksymilian,
3 miesiące, zmarł 11.10.2014 r., pod opieką Fundacji był 3 dni

Roksana,
16 lat, zmarła 19.10.2014 r., pod opieką Fundacji była 209 dni

Adam,
7 lat, zmarł 20.10.2014 r., pod opieką Fundacji był 45 dni

Filip,
6 miesięcy, zmarł 9.11.2014 r., pod opieką Fundacji był 56 dni

Laurka – nie zamienilibyśmy jej na żadną inną zdrową

Laura miała urodzić się zdrowa 5 grudnia. Niestety los chciał inaczej i przyszła na świat 10 listopada - kruszynka ważyła zaledwie 1720 g i mierzyła 42 cm. Stwierdzono u niej całkowity rozszczep podniebienia, zespół wad wrodzonych, hipotrofię, atrezję przełyku, deformację twarzy i małżowin usznych oraz zespół Charge. Mówiono, że przejdzie 2 operacje i będzie dobrze, ale los spłatał nam figla. W pierwszej dobie życia zrekonstruowano przełyk. Kolejnych kilka dni malutka spędziła w śpiączce farmakologicznej na Oddziale Intensywnej Terapii Dziecięcej (OITD). Trafiłyśmy na chirurgię, gdzie mała karmiona była przez sondę. Pomimo prób karmienia doustnego nie nauczyła się jeść, więc podjęto decyzję o założeniu gastrostomii.

Tak naprawdę jeszcze wtedy nie spodziewałam się , co nas czeka. Nie wiedziałam, że to dopiero początek naszego koszmaru. Laura jeszcze przed zabiegiem trafiła na Oddział Intensywnej Terapii Dziecięcej po nagłym zatrzymaniu krążenia. Była reanimowana, ale dzielnie walczyła i udało się ją uratować. Pierwszą rzeczą, którą wtedy zrobiłam, było wezwanie księdza, żeby ją ochrzcić. Następnego dnia w znieczuleniu miejscowym wykonano tracheostomię, a następnie gastrostomię. Ciągle trwała walka z oddychaniem – respirator.

Wreszcie 23 lutego byłyśmy pierwszy raz w domu. Jej wówczas dwuletni brat był wniebowzięty, że wreszcie poznał i zobaczył swoja siostrę. Wcześniej oczywiście zaopatrzyliśmy się w hospicjum w niezbędny sprzęt tj. ssak, ambu, koncentrator tlenu. Pielęgniarka pani Krysia wszystko nam wyjaśniła i wypożyczyła. Tak mijały kolejne koszmarnie ciężkie dni w domu. Laura często się dusiła, siniała, miała bezdechy i nie mogła oddychać, a co gorsze ciągle wymiotowała – jeden posiłek zwracała nawet kilka razy. W związku z tym po miesiącu znów trafiliśmy na oddział prof. Patkowskiego który w trybie pilnym wykonał operację antyrefluksową i w późniejszym czasie drugą. Nadal mieliśmy problem z karmieniem. I te ciągłe pobyty w szpitalu. Co jakiś czas odwiedzała nas kochana pielęgniarka z hospicjum pani Irenka. Laura bardzo ją polubiła i to ona nas wspierała w trudnych chwilach.

Laura przeszła jeszcze kilka różnych operacji m.in. zarosła jej tchawica, miała zakładany dwukrotnie vascuport, trzy nieudane operacje rozszczepu podniebienia. Transfuzje krwi, wykluczenie zespołu Charge, a następnie Goldenhara, diagnoza o dużym obustronnym niedosłuchu i kilka pobytów rocznie w szpitalu doprowadzały mnie do szału. Nadal nie było diagnozy, mała nie rosła, miała już wiele badań za sobą, kilkanaście znieczuleń ogólnych i końca nie było widać. W 2012 roku byłyśmy 12 razy w klinikach! Ciągle jak nie wymioty, to brzuch, zapalenia płuc i inne paskudztwa. Wszystko to sprawiło, że przyjęto nas do hospicjum dla dzieci. To była dla nas wspaniała wiadomość, bo wiedziałam, że tam otoczą nas opieką wspaniali lekarze i pielęgniarki, którzy mają do czynienia na co dzień z takimi dziećmi jak moja córeczka. Nie boją się wkłuć, rurek i innego sprzętu, na którego widok inni reagują strachem i niepewnością. Wiedziałam, że ci ludzie znają się na rzeczy i zawsze służą pomocą, dobrą radą i wsparciem. Wreszcie przestalam się tak bać, bo wiedziałam że Laurka jest w dobrych rękach.

Rok 2013 dzięki ludziom z hospicjum dla dzieci przebiegł spokojniej. Szybka interwencja lekarska i włączenie leczenia sprawiło, że uniknęliśmy wielu pobytów w szpitalu. Laura nabrała zaufania do ludzi, przestała się bać lekarzy. Dziękujemy Krysi, Irence, Grażynce, Iwonce i Pawłowi (ekipa pielęgniarka, z którą mieliśmy kontakt), bo to oni do nas przyjeżdżali i pomagali mojej małej bohaterce. Dzięki rehabilitacji i zajęciom z logopedą Laura zaczęła wypowiadać pojedyncze słowa i można z nią nawiązać kontakt, a ja ją rozumiem poprzez gesty. Udało

nam się ją zdiagnozować we Francji. Laura cierpi na zespół MFDM czyli twarzowo-żuchwową dyzostozę z małogłowiem. Jest jedynym dzieckiem w kraju z taka diagnozą.

Wcześniej narzekałam na gastrostomię i tracheostomię, ale po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, że to ratuje jej życie. Jest bezpieczna oddechowo. Dzięki gastrostomii w trakcie infekcji nie dochodzi do odwodnienia, można podać leki i uniknąć szpitali. Gdybym teraz miała zadecydować o założeniu tych rurek znów zrobiłabym to bez wahania. Dla matek ciężko chorych dzieci jest to ogromnym ułatwieniem i pomocą w codziennym życiu. Rurki nie są żadnym ograniczeniem - Laura uwielbia śnieg, gra w piłkę, skacze na trampolinie, kąpie się w basenie, a nawet robi porządki w ogródku. Nie przeszkodziło nam to w wakacjach nad morzem i w górach – nawet ciężki sprzęt(ssak i spółka) nie są dla nas przeszkodą. Dla Laury nie ma rzeczy niemożliwych. Za to właśnie kochamy naszą córeczkę i nie zamienilibyśmy jej na żadną inną zdrową. Jest wyjątkowa tak jak wy.

Dzisiaj Laura ma 5 lat. Nadal jest niewielka, bo ma 80 cm i waży 9,5 kg. W tej kwestii nie pomogły żadne odżywki czy diety. Nadal towarzyszą nam rurki, ale mamy nadzieję że powoli nauczymy się jeść i mówić. Czekamy na operację dystrakcji żuchwy oraz kilka operacji szczęki, podniebienia i uszu. Często to wszystko mnie przeraża. Dlatego składamy szczególne podziękowanie psycholog Monice, dzięki której ja jako matka jestem silniejsza i pewniejsza siebie. To ona pomaga mi przetrwać te ciężkie chwile, bez jej pomocy nie dałabym rady. Ona pomaga mi przejść przez to wszystko obronną ręką. Jest wspaniałą osobą, która szybko trafia do serca drugiego człowieka. Ma powołanie do takiej pracy i do tego, co robi. JESZCZE RAZ DZIĘKUJEMY.

Jowita Dzioba
Mama Laury

Dobrze jest jak jest

Od czego zacząć? Mh, chyba po prostu od tego, że jesteśmy szczęśliwi. Tak, właśnie tak. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że spotkała nas tragedia - a bo pierwsze dziecko, a bo takie ładne, ale chore, a my młodzi... Zdarza się, że nawet jeżeli nie usłyszymy takiego stwierdzenia, to mina niektórych osób mówi sama za siebie. I człowiek zaczyna czuć się dziwnie, bo w ogóle nie ma poczucia, że spotkała go jakaś krzywda. Jest jak jest i już. Szkoda czasu i energii na roztrząsanie tematu pt. *dlaczego nas to spotkało?* Spotkało i już, a pytanie brzmi: *co z tym darem zrobimy?* Darem, bo dzieciątko z chorobą potrafi pokazać dorosłym, co jest w życiu naprawdę ważne, potrafi nauczyć, że można i trzeba się cieszyć z drobiazgów, że powinniśmy być bardziej wrażliwi na drugiego człowieka i że każdy nowy dzień jest szansą na zrobienie czegoś ważnego, dobrego.

Nasza historia zaczęła się w 2009 roku, kiedy na świecie pojawiła się Maja. Ciastek jest wcześniakiem urodzonym w 34. tygodniu ciąży. Na początku rozwijała się bardzo dobrze, nic nie wskazywało na to, że pojawią się poważniejsze kłopoty z jej zdrowiem. Kiedy Majuśka miała 5 miesięcy, zaczęła cofać się w rozwoju – przestała robić rzeczy, które potrafiła, stała się apatyczna. Chodziliśmy od drzwi do drzwi, ale zawsze słyszeliśmy, że wydziwiamy, że to wcześniak, że potrzeba jej więcej czasu, że jesteśmy przewrażliwieni, bo to nasze pierwsze dziecko. Kiedy Maja miała 9 miesięcy, przyszedł czas na kolejne USG głowy i wtedy okazało się, że Majka ma zaawansowane wodogłowie. Prawdopodobnie następstwem tego jest MPD (mózgowe porażenie dziecięce). Teraz Majka nie siedzi, nie chodzi i nie mówi. O pobytach w szpitalach nie będę pisać, bo każdy z rodziców, którego dziecko zahaczyło o szpital wie, co się wtedy przeżywa – co to jest strach, często poczucie bezradności, a jednocześnie konieczność bycia silnym i uśmiechniętym, żeby dziecko czuło się bezpiecznie i nie miało poczucia winy, że mama jest smutna, bo ono jest chore. Każdy rodzic odgrywa przed dzieckiem rolę, za którą powinien dostać choćby nominację do Oscara.

A jak wygląda nasza codzienność? Zupełnie zwyczajnie – oboje z mężem pracujemy na pełen etat. W tym czasie Majka chodzi do przedszkola „Promyk Słońca". Uwielbia kontakt z dziećmi, zawsze bardzo się cieszy, że tam idzie. Mało tego – Majka ma nawet adoratorów! Dzieciaki są wspaniałe – nieraz sama widziałam jak potrafią się Majuśką opiekować, wytrą jej buzię kiedy się poślini, robią zapisy kto poprowadzi wózek z Majką na stołówkę, a czasem nawet naskarżą, że po jedzeniu Majce się odbiło i nie powiedziała przepraszam. Obie strony czerpią ze swojej obecności dużo radości – wiem, że Maja jest bezpieczna w przedszkolu i otoczona wspaniałą opieką zarówno pań, jak i dzieci. Pomimo ograniczonych możliwości ruchowych, Majka traktowana jest przez dzieci i panie w przedszkolu zupełnie normalnie – uczestniczy we wszystkich zajęciach i zabawach, ma dyżur na stołówce, przynosi prace plastyczne swojego autorstwa. Nie da się ukryć, że taka fantastyczna at-

mosfera to przede wszystkim wynik dobrej woli ludzi, tego, że są otwarci i tego, że im się po prostu chce. No i współpraca! Nasza jako rodziców i pań w przedszkolu – bez tego nic by się nie udało. Zawsze wymieniamy się informacjami, spostrzeżeniami – dzięki temu nie traci się czasu na odgadywanie np. sposobu jak przebrać Majkę (potrafi się bardzo napiąć). Jako rodzice mamy to opanowane, dlatego zawsze informujemy o takich rzeczach, dzięki czemu osoby pracujące z Majką mają już przygotowaną bazę, są oswojone z tym, co może się wydarzyć. Wzajemne zaufanie to chyba najważniejsza sprawa. A dowodem na to, że realizowany plan się sprawdza jest wielka radość Majki kiedy idzie do przedszkola. Skoro tak bardzo się cieszy, to znak, że musi jej tam być dobrze.

Po pracy i przedszkolu wracamy do domu, gdzie czekają na nas pies Tośka i kotka Fela. Trzeba zrobić obiad, trochę odpocząć, no i zacząć korzystać z czasu wolnego. Czas wolny spędzamy rożnie – albo chodzimy na plac zabaw, gdzie Majka korzysta i ze ślizgawki (z mamą), i z piaskownicy, i z karuzeli, albo idziemy w odwiedziny do znajomych, albo oni wpadają do nas, jedziemy na zakupy, idziemy do kina (Majka uwielbia kino i teatr), albo robimy tzw. nic - czyli po prostu krzątamy się po domu, coś poczytamy, wstawimy pranie… Wieczorem po kąpieli czas na seans filmowy. Ulubione bajki Majki to *Ciekawski Georg, Pamiętnik Florki* no i najważniejsza bajka na dobranoc – *Niedźwiedź w dużym niebieskim domu*. Jeżeli bez uprzedzenia na moment zmieni się program, który Majka aktualnie ogląda – awantura! Jak się szybciutko wróci, przestępca dostaje spojrzenie z reprymendą *Jak mogłaś?!* po czym piękny rogalik (tak mówimy na Majusiowy uśmiech) – *No dobrze, wybaczam ci*.

Robimy to samo co wszyscy. Mimo tego, że Majka nie jest samodzielna ruchowo, co czasami jest kłopotliwe, bo trzeba ją nosić (nasza Królowa nie znosi wózka, pionizatora, fotelika samochodowego), to i tak mamy dużo szczęścia. Majkę wystarczy wziąć pod pachę i pognać gdzie się chce – nie musimy korzystać z respiratora ani innych urządzeń. Mamy możliwość spontanicznego działania i bardzo to doceniam.

Naszą główną zasadą jest pozwolić dziecku być dzieckiem, bo jest się nim raz w życiu. Dlatego staramy się jak najwięcej rzeczy robić zupełnie zwyczajnie. Majka wszystko rozumie i mimo tego, że nie mówi, daje znaki, że coś jej odpowiada bądź nie, sygnalizuje, że jest głodna czy zmęczona. Ba! My nawet potrafimy się pokłócić! Oczywiście po pięciu minutach już się godzimy. Majka ma poczucie humoru i zawsze cieszy się jak ktoś łobuzuje.

Bardzo ciężko mi opisać naszą sytuację, bo ani nie mam się na co pożalić, ani czym zasmucić. Jest dobrze jak jest, widocznie tak miało być. Może wynika to z tego, że nie znam innego rodzaju macierzyństwa, stąd przyjmuję to, co jest jako coś zwyczajnego. Każdy rodzic ma kłopoty z dzieckiem, a to nie chce jeść, a to migdałki do wycięcia, a to zębów nie myje, gryzie, nie uczy się, łobuzuje… My mamy troski, ale innego rodzaju. Pewnie, że chciałabym, żeby Majka narobiła mi bałaganu w domu, albo żeby gadała tak, że marzyłabym o zabawie w króla ciszy. Cieszymy się jednak z tego co mamy. Najważniejsze, żeby Majka była radosna, żeby nauczyła się szanować ludzi i doceniać ich, bo dzięki ludziom właśnie i pomocy z ich strony będzie mogła w przyszłości osiągać różne rzeczy. Chcemy ją też nauczyć poczucia własnej wartości, żeby wiedziała, że mimo ograniczeń ruchowych jest mądrą, śliczną dziewczyną.

Pod opiekę hospicjum trafiliśmy dzięki rehabilitantom Majki – Galince i Bogusiowi Majczykom. To nie tylko znakomici rehabilitanci, ale przede wszystkim cudowni ludzie, którzy zawsze służą radą i pomocą i - co tu dużo mówić – po prostu przejmują się sytuacją swoich pacjentów. Choroba Majki jest chorobą przewlekłą, trudno powiedzieć, czy Maja kiedyś będzie samodzielna. My jako rodzice wierzymy w to, że będzie dobrze, ale czy tak będzie – czas pokaże. Chcielibyśmy podziękować za to, że hospicjum w ogóle jest, bo to bardzo duże wsparcie dla rodzin borykających się z choróbskiem dzieci. Wsparcie materialne jest bardzo ważne, ale wsparcie w postaci dobrego słowa czy rady jest bezcenne. Dziękujemy za wszystkie fantastyczne akcje – Dzień Dziecka czy Mikołajki. To wielkie przedsięwzięcia i okazja do niezapomnianych spotkań. Dziękujemy!

Podsumowując – dziękuję mojej Majce za to, że jest. Dzięki niej uświadomiłam sobie jakie mamy szczęście do dobrych ludzi i jak wielu ich na świecie jest.

Oliwia Wajsen
Mama Mai

Nasza Paulinka

Urodziła się wyczekiwana, chciana, planowana. Przyszła na świat w środę 3 września 2003 roku o godzinie 3:45. Paulina jest naszym drugim dzieckiem. Ma jeszcze starszą o 7 lat siostrę Martę. Początek ciąży był troszkę dramatyczny, gdyż w 3. miesiącu ciąży miałam bardzo poważny wypadek samochodowy. Na szczęście nic się nie stało. Całą ciążę wspaniale się czułam. Mogłam góry przenosić. Lekarz prowadzący mówił, że dziecko jest zdrowe tylko trochę za mało waży, ale nie ma co się niepokoić. Ok. 7. miesiąca lekarz stwierdził, że będziemy mieli chłopca, więc Paulinka była niespodzianką.

Obwieściła swoje narodziny donośnym krzykiem. Po porodzie dostała 10 punktów w skali Apgar i powiedziano mi, że jest zdrowym, silnym i dużym noworodkiem. Kiedy pokazano mi Paulinkę zauważyłam dziwny kształt głowy, taki jajowaty i że główka jest duża. Lekarz powiedział, że wszystko jest dobrze i że zdarzają się dzieci z taką dużą główką, więc nie ma co się martwić. Po trzech dniach spędzonych w szpitalu zostaliśmy wypisani do domu. W dokumentach widnieje, że stan dziecka przy wypisie jest bardzo dobry. Zaniepokoiła mnie tylko informacja, że obwód główki przy urodzeniu był 43 cm, a przy wypi-

sie 45 cm. Mąż się śmiał, że panikuję i szukam dziury w całym, ale mnie cały czas coś niepokoiło. Takie miałam dziwne odczucia. Zaczęłam cofać się pamięcią do okresu kiedy Marta była noworodkiem, porównywać, bo cały czas coś nie dawało mi spokoju. Pewnego razu przyjechała bratowa z synkiem. Bratanek jest tylko o dwa tygodnie starszy od Paulinki. Obserwowałam jego ruchy, mimikę i zachowanie. Od razu było widać, że z Paulinką jest coś nie tak.

Dostaliśmy skierowanie do neurologa dziecięcego i podczas wizyty po przebadaniu Paulinki pani doktor zapytała kto wypisał dziecko w takim stanie do domu. Serce nam stanęło. Natychmiast dostaliśmy skierowanie do szpitala w Wałbrzychu. Tam po tygodniowych badaniach zaproszono nas do gabinetu. Lekarz podał nam łacińską nazwę choroby, która kompletnie nam nic nie mówiła. Pokazywał nam wyniki badań, tomografie głowy i wytłumaczył nam, co to jest za choroba. Bezmózgowie, wodogłowie, uszkodzenie układu nerwowego, porażenie czterokończynowe. Dodał, że takie dzieci nie dożywają 3. miesiąca życia, że będzie to roślinka. Zasugerował, abyśmy zostawili Paulinkę w szpitalu, bo jesteśmy młodzi i możemy postarać się o zdrowe dziecko. To był ogromny szok dla nas. Jak to? Urodziła się zdrowa, a teraz jest chora? Nie mogło to do nas dotrzeć. Emocje jakie nami targały są trudne do opisania.

Zorganizowaliśmy przewóz Paulinki do szpitala we Wrocławiu. Szpital widząc naszą determinację, upór i walkę o Paulinkę skontaktował się z doktorem Bagłajem, który podjął się wstawienia zastawki. Paulinka po operacji bardzo szybko doszła do siebie. Mając 6 tygodni wróciła do domu. To był czas nauki przetrwania. Musieliśmy się sami uczyć, jak opiekować się niepełnosprawnym dzieckiem. Jak rozpoznać czy coś się dzieje z Paulinką, czy coś ją boli. Nikt nam niczego nie mówił. Sami poznawaliśmy potrzeby Paulinki. Mimo niekorzystnych prognoz mocno wierzyliśmy, że z Paulinką będzie inaczej, że będziemy robić postępy. Niestety mimo rehabilitacji porażenie było coraz bardziej zauważalne. Nie trzymała główki, nie mówiła, spastyka postępowała. Czasami miała rączki tak sztywne, że przy zginaniu aż trzeszczały, ale dla nas najważniejsze było, że żyje i na swój sposób walczy z chorobą. Zaczęła się uśmiechać, gaworzy, reaguje na głosy, ma swoje humory i upodobania. Chcemy Paulinkę traktować jak zdrowe dziecko. Zaczęła pięknie jeść łyżką miksowane jedzenie. Zabieraliśmy ją na wszystkie wakacje. Chodziliśmy razem na spacery, kiedy jej stan na to pozwalał. Paulinka przebyła kilkanaście infekcji płuc. Często chorowała z powodu obniżonej odporności, co chwilę trafialiśmy do szpitala. Żyły jej pękały przy każdej próbie wbicia wenflonu, a my spędzaliśmy wiele godzin i dni w szpitalu. Ciągłe badania, wizyty lekarzy, zastrzyki, kroplówki. Paulinka na początku miała zaburzenia snu, wymagała ciągłego kontaktu. Nieraz całe noce kołysaliśmy ją, głaskaliśmy, przytulaliśmy. Cały czas byliśmy zdani wyłącznie na siebie. Szukaliśmy na własną rękę wszelkich informacji, porad, badań, lekarzy i wszelkiej pomocy, aby jak najlepiej leczyć i rehabilitować Paulinkę. Radziliśmy sobie, bo Paulinka dawała nam taki zastrzyk nadziei i wytrwałości. Jej walka z chorobą pokazywała, że warto. Bo jak ona walczy - my razem z nią. Jej uśmiech na twarzy czy gaworzenie tak motywowało, że zmęczenie od razu mijało. Cieszyliśmy się z jej postępów, z tego jak daje radę. Mimo niekorzystnych prognoz lekarzy rosła i rozwijała się znakomicie, jak na swoją chorobę. I nadszedł najgorszy moment w życiu Paulinki.

18 października 2009 roku tak jak zawsze Paulinka wykąpana, przebrana, zjadła łyżeczką miskę kaszy i zasnęła. Obudziła się nagle w nocy z krzykiem i płaczem. Była rozpalona, miała biegunkę. Pojechaliśmy do szpitala. Zrobiono jej wyniki i okazało się, że ma wysoki stan zapalny tylko nie wiadomo od czego. Zrobiono jej szereg badań, które niczego nie wyjaśniły. Zostaliśmy przewiezieni do Wrocławia na chirurgię dziecięcą, gdzie spędziliśmy trzy miesiące. Były to czas walki Paulinki o życie. Przeszła szereg badań, konsultacji, które nic nie dały. Nie

było wiadomo co jej jest. Przeszła zapalenie płuc, sepsę, walczyła każdego dnia. Była niespokojna, nie jadła, odżywiano ją kroplówką. Parametry skakały raz w dół, raz w górę. Była kilkanaście razy na granicy życia i śmierci. Przeszła operację wyjęcia zastawki, założono gastrostomię, ale pokonała chorobę.

I właśnie w szpitalu dowiedzieliśmy się o hospicjum. W styczniu 2010 roku wyszliśmy do domu. Od razu skontaktowaliśmy się z hospicjum. 15 marca 2010 roku Paulinka została przyjęta pod opiekę Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci. Hospicjum zapewniło nam kompleksową opiekę. Zaangażowanie pracowników hospicjum oraz częste wizyty pomagały zapomnieć o dniach, kiedy czekaliśmy na pomoc w szpitalach, izbach przyjęć. Już nie byliśmy zdani tylko na siebie. Otoczono nas wspaniałą opieką, zapewniono nam wszelkie konsultacje lekarskie, jakich Paulinka potrzebowała. Dzięki hospicjum Paulinka trzy razy była na wakacjach. Razem mogłyśmy odpoczywać i zwiedzać. Odkąd Paulinka jest pod opieką fundacji nie zapada tak często na infekcje. Odpowiednio dobrane leki zapobiegają atakom padaczki i pomagają Paulince spokojnie spać. W razie potrzeby korzystamy ze sprzętu medycznego, którego sami nie byliśmy w stanie zapewnić córce.

Pracownicy hospicjum dodają nam odwagi, udzielają wszelkiej pomocy. Możemy o wszystkim z nimi porozmawiać. Chcemy szczególnie podziękować lekarzom, pielęgniarkom i pielęgniarzom, paniom psycholog oraz wszystkim pracownikom. Księdzu za opiekę i za udzielenie Paulince w domu I Komunii Św. Dziękujemy, że jesteście, że uczycie nas, jak żyć z chorobą Paulinki, że wierzycie w nasze umiejętności bardziej niż my sami. Dziękujemy za to, ile serca i ciepła nam dajecie. Za to, że jesteście z nami w każdej chwili i jak coś dzieje się z Paulinką to zawsze możemy zadzwonić i uzyskać pomoc, o każdej porze dnia i nocy. Wasze wizyty dają nam siłę i energię. Dajecie nam poczucie bezpieczeństwa. Dziękujemy z całego serca.

Małgorzata Czernicka
Mama Paulinki

Niewidzialni...

Gdzie najlepiej czują się nasze dzieci, jak nie w swoich domach, pełnych ciepła i miłości? Tam mają pokój, swoje łóżeczko, na półkach ukochane pluszaki i zabawki. Czasem jednak to znajome miejsce trzeba na chwilę zamienić na szpitalną salę, w której pomimo pomalowanych na różne barwy ścian, tak kolorowo nie jest... Bo kolorowa też nie jest szpitalna rzeczywistość.

Tak sobie myślę, że gdyby nie hospicjum, którego podopieczną jest od ponad 4 lat nasza córeczka Hania, byłoby naprawdę ciężko. Kolejki w przychodniach czy poradniach specjalistycznych nie są dzisiaj rzadkością. A wejście poza kolejnością z chorym, niepełnosprawnym dzieckiem nieczęsto się zdarza, a wręcz graniczy z cudem. Mamy to szczęście, że o każdej porze dnia i nocy otrzymamy fachową pomoc od lekarza, pielęgniarki, czy psychologa. Gdy jest konieczna wizyta lekarska tego samego dnia podjeżdża pod dom samochód Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci.

Hania od momentu opuszczenia oddziału intensywnej opieki medycznej (OIOM-u), na którym przebywała zaraz po urodzeniu niemal sześć miesięcy, od tego szczęśliwego dla Oli i Kacperka i dla nas rodziców wyjątkowego Dnia Dziecka, od 1 czerwca 2010 roku, dotychczas w szpitalu była dwukrotnie. W tym też dniu została podopieczną hospicjum. Dziś mogę powiedzieć, że została przyjęta do hospicyjnej rodziny - pełnej ciepła, zrozumienia i zawsze gotowej nieść pomoc.

Jednak nie zawsze wszystkie dolegliwości można wyleczyć w domu. Konieczne jest ustawienie leków lub dokładniejsza diagnostyka. Niestety to w warunkach domowych nie jest możliwe. Gdy trafiliśmy do szpitala po raz pierwszy, wydawałoby się, że wszystko jest dobrze. Troska lekarzy, pielęgniarek. Wszystkie czynności pielęgnacyjne, podawanie leków, karmienie poprzez gastrostomię, częste odsysanie wykonywałam sama. Niezbędna była pomoc drugiej osoby tylko przy kąpieli naszej Hani. I gdy tylko o nią poprosiłam, zawsze ją otrzymałam. Jednak to miłe wrażenie musiał zniweczyć jeden incydent, jaki miał miejsce... Otóż pewnego późnego popołudnia, musiałam na moment zostawić Hanię, by pójść do pobliskiej apteki kupić mleko dla niej. W sali została koleżanka z córeczką. Poprosiłam ją, by zerknęła na Hanusię, a w razie potrzeby zawołała pielęgniarkę. Spokojna, że zostawiam moją córeczkę pod dobrą opieką, wyszłam na chwilę... Stojąc w kolejce, usłyszałam dzwonek telefonu. Dzwoniła Ania. Płacząc powiedziała, bym przyszła jak najszybciej, bo Hanię trzeba odessać, a ona tego nie potrafi, pielęgniarka też tego nie zrobiła. Biegiem wpadłam na salę i gdy zobaczyłam błagalne spojrzenie Hani rozpłakałam się. Idąc do dyżurki pielęgniarskiej, zastanawiałam się, co powiem. Zadałam jedno pytanie: *Dlaczego?*

Dlaczego mojemu dziecku nie udzielono pomocy, gdy jej tak bardzo potrzebowało? Czy gdyby mogło samo o tę pomoc poprosić głośnym płaczem, czy krzykiem, też by nie zareagowano? W odpowiedzi usłyszałam, że akurat w tym momencie przekazywany był dyżur, a poza tym to mama przyzwyczaiła dziecko do komfortu tak częstym odsysaniem. Nieważne, że z założonym filterkiem, chroniącym przed różnorodnymi bakteriami, mogłaby się po prostu udusić. W tym momencie przekazanie obowiązków nocnej zmianie było ważniejsze. Na tę chwilę moje dziecko stało się niewidzialne.

Brak słów... Tak się zastanawiam, czy naszym dzieciom, wystarczająco cierpiącym nie należy się komfort życia... W czym są gorsze? Dlaczego pozbawia się ich godności człowieka w szpitalnych murach? Przecież tak jak pisał Jan Paweł II: *Osoby niepełnosprawne w pełni są podmiotami ludzkimi z należnymi im wrodzonymi, świętymi i nienaruszalnymi prawami, które mimo ograniczeń cierpień wpisanych w ich ciało i władze, stanowią jednak o szczególnym znaczeniu godności i wielkości człowieka.* Tak bardzo boli, że niektórzy o tym niekiedy zapominają i zachowują się tak, jakby nasze chore dzieci miały czapkę niewidkę. One nie upomną się o należne im prawa. To my rodzice jesteśmy ich oczami, gdy nie widzą, uszami, gdy nie dane jest im słyszeć, ustami, gdy nie mogą mówić. Wystarczy czasem chwila, gdy nas nie ma przy nich, by pozostali niezauważalni...

Dlatego naszym dzieciom, najlepiej jest w domu, w otoczeniu bliskich, kochających osób, gdzie nic nie jest dla nich obce, gdzie czują się bezpiecznie słysząc głosy dobrze znane, czując znajomy, ciepły dotyk, w domu, gdzie strach i lęk nie mają racji bytu…

Przyszedł jednak moment, gdy znów dom pełen ciepła Hania musiała zamienić na szpitalne mury. Przewlekłego zapalenia ucha mimo najszczerszych chęci lekarzy specjalistów, nie udało się wyleczyć w warunkach domowych. Musiała zostać wykonana tomografia komputerowa, by poznać przyczynę dolegliwości Hanusi. Od pewnego czasu ból bardzo dotkliwie dawał jej się we znaki. Bardzo cierpiała. Nie ma chyba nic gorszego, niż bezradność i bezsilność wobec cierpienia dziecka…

W pierwszych dniach oprócz badania tk nie zrobiono zupełnie nic. Podczas wizyt lekarskich słyszałam tylko, że czekamy na opis badania. Ból uszka w tym momencie był nieistotny… Gdy moje prośby nie pomogły, zażądałam, by zbadano moje dziecko. Bo czy ono jest inne od wszystkich przyjmowanych małych pacjentów? Dlaczego zwleka się tak długo, zamiast pomóc dziecku? Dziecku tak bardzo cierpiącemu. Dopiero zlecony antybiotyk miejscowo i dożylnie uśmierzył ból. Ale czy tak długo to musiało trwać, by podjęto jakiekolwiek decyzje dotyczące leczenia? Czy wszechobecny brak empatii jest również tam, gdzie oczekuje się opieki i pomocy? Pocieszającym jest fakt, że również w szpitalnych murach są ludzie, którzy z troską zapytają, czy mogą pomóc w codziennych czynnościach pielęgnacyjnych przy chorym dziecku, czy przynieść materac przeciwodleżynowy. Zapytają o samopoczucie, udzielą rzeczowych informacji na temat stanu zdrowia.

Dlaczego my rodzice tak często musimy się upominać o to, by zauważono nasze dziecko? Hania różni się od zdrowego dziecka, inaczej wygląda, nie mówi, nie ma z nią kontaktu, ale czuje i jest przede wszystkim człowiekiem. I nie chce być niewidzialna… My rodzice jej w tym pomagamy, jak tylko możemy. Nie ukrywamy jej w czterech ścianach naszego domu, pokazujemy wszystkim, jaką mamy śliczną, dzielną córeczkę. Nie boimy się pytań o stan zdrowia naszego dziecka. To ludzie się boją, by nas nie urazić, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby nas zaboleć. A nam wystarczy obecność drugiego człowieka, który czasem wysłucha, ale gdy zajdzie taka potrzeba, pomilczy razem z nami.

Anna Dymna prezes Fundacji Mimo wszystko powiedziała kiedyś, że *osobę niepełnosprawną trzeba przede wszystkim dostrzec, zbliżyć się do niej i wtedy dopiero można zobaczyć w niej zwyczajnego człowieka, który tak samo jak my, ma uczucia, talenty, ambicje, różne potrzeby i bardzo chce, żeby go normalnie traktować. Lęk przed chorymi osobami wynika najczęściej z niewiedzy. Nie wiemy jak się zachować. Najchętniej byśmy się odwrócili - ten odruch trzeba zrozumieć. Wszyscy chcielibyśmy być piękni, młodzi i bogaci przez całe życie. Na widok strasznie okaleczonej osoby odwracamy się odruchowo. Niektórzy się odwracają i uciekają, ale są też tacy, którzy potrafią się zatrzymać i pomimo tego, że też się boją, w końcu zaczynają rozumieć, że to też zwyczajny człowiek, który może nie ma nóg, ale ma za to wózek i potrafi z tym żyć…*

Agnieszka Kruk
Mama Hani

Rycerzyk

Na rynku księgarskim ukazała się niedawno książka o ciepło brzmiącym tytule *Rycerzyk*. Jej autorami są Anna Ługowska-Tabaj oraz Michał Tabaj – rodzice małego Krzysia, który dzielnie walczy z chorobą oraz, o czym możemy przeczytać w dedykacji, udziela najpiękniejszej lekcji życia nie wypowiadając ani słowa.

Jeśli ktoś potrzebuje, aby go zachęcić do kupienia książki spieszę z informacją, że każdy zakup jest połączony ze wsparciem Podopiecznych „Alma Spei" – krakowskiego Hospicjum dla Dzieci. A jeśli ktoś potrzebuje, aby go zachęcić do przeczytania książki, to poniżej przedstawiam fragment, który przytacza Mama Krzysia tłumacząc na czym polega wychowanie niepełnosprawnego dziecka:

Oczekiwanie na dziecko jest jak planowanie niesamowitych wakacji we Włoszech. Kupujecie mnóstwo przewodników i planujecie rozmaite wyprawy. Koloseum. Dawid Michała Anioła. Gondole w Wenecji. Uczycie się nawet kilku zdań po włosku i wszystko jest takie fascynujące…

I oto, po miesiącach oczekiwań, nadchodzi ten dzień. Pakujecie torby i wyruszacie. Kilka godzin później samolot ląduje. Do kabiny wchodzi stewardesa i mówi: „Witamy w Holandii".

„Holandii?!" - mówicie. - „Jakiej Holandii? Mieliśmy lecieć do Włoch. Powinniśmy być we Włoszech. Całe życie marzyliśmy o wyprawie do Włoch!"

Ale w planach lotu zaszły zmiany. Samolot wylądował w Holandii i musicie tam zostać…

Ważne, że nie zabrano was do jakiegoś odrażającego i brudnego miejsca, w którym panuje głód i zaraza. Ale… Holandia jest inna niż Włochy… Musicie kupić więc nowe przewodniki. I nauczyć się nowego języka. I spotkanie zupełnie nowych ludzi, z którymi inaczej nigdy byście się nie zetknęli. Holandia jest inna. Życie tu jest wolniejsze niż we Włoszech i mniej spektakularne. Ale kiedy pobędziecie już tam trochę i rozejrzycie się spostrzeżecie, że są tu wiatraki. I tulipany. A nawet obrazy Rembrandta. Wielu waszych znajomych ciągle wyjeżdża do Włoch i chwalą się, jak im tam było wspaniale. A wy, przez resztę życia będziecie mówić: „Tak, my też mieliśmy tam lecieć. Takie były plany."

I bolesna świadomość tego nigdy, przenigdy was nie opuści, bo strata wymarzonej podróży jest stratą niewyobrażalną…

Jeśli jednak spędzicie życie opłakując fakt, że nie dotarliście do Włoch, nigdy nie nauczycie się cieszyć z tych wyjątkowych, ukochanych Niderlandów…

Ks. Tomasz Filinowicz
Kapelan Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci
filin@poczta.onet.pl

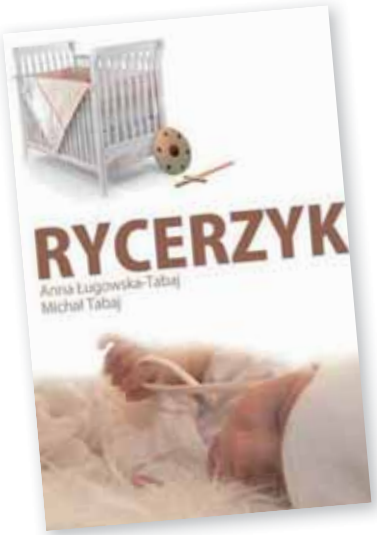

Jak wakacje to tylko w Wiśle

Od 5 do 19 lipca 2014 r. w Wiśle odbywały się kolonie dla rodzeństwa naszych podopiecznych. Czterdziestoosobowa grupa dzieci w wieku 6-16 lat przebywała w ośrodku należącym do Fundacji Banku ING Dzieciom, która była jednocześnie głównym sponsorem wyjazdu. Dzieci miały zapewnioną ze strony Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci" profesjonalną obsługę medyczną, psychologiczną, socjalną, wsparcie duchowe oraz troskliwą opiekę wolontariuszy.

Wspólnie z Fundacją ING zapewniliśmy dzieciom moc atrakcji, wśród których należy wymienić: wycieczki do Cieszyna (z zabytkową starówką zapierającą dech w piersiach) oraz w okolice Wisły i Ustronia (warto wspomnieć o wizycie na skoczni narciarskiej Wisła-Malinka, gdzie pierwsze kroki sportowej kariery stawiał Adam Małysz), wizyta w wesołym miasteczku, parku linowym, wjazd na górę Czantorię. Niewątpliwą atrakcją dla dzieci był pobyt w Leśnym Parku Niespodzianek, który mieści się na górze Równica, gdzie nasi koloniści mogli podziwiać pokazy ptaków drapieżnych i innych zwierząt. Dodatkowo czas wypełniały nam zawody sportowe, warsztaty psychologiczne, zajęcia artystyczne. Dzięki uprzejmości Domu Kultury ze Strumienia mogliśmy także skorzystać z mieszczącego się tam basenu oraz z przygotowanych dla nas warsztatów: filmowych, tanecznych, fotograficznych oraz bębniarskich. Wart podkreślenia był nasz pobyt w AquaParku w Hotelu Gołębiewskim, gdzie większość dzieci mogła po raz pierwszy wybawić się w podobnym obiekcie.

Słoneczna pogoda, która umilała nam czas, radość w oczach dzieciaków, szybkie tempo mijającego czasu, sprawiły, że dla wszystkich nas ten czas był naprawdę wyjątkowy i pozostanie w naszej pamięci.

Adam Proft
Wolontariusz

Kudowskie dobre bieganie

Po raz trzeci młodzi Kudowianie pozyskiwali sponsorów i biegali dla naszych podopiecznych. Jak zawsze była fantastyczna energia, dobra organizacja i świadomość celu. Koordynator Paweł Bubiński, dyrekcja w męskich osobach pana Jerzego Łukasika i Daniela Dubaniewicza oraz cała społeczność uczniowsko-nauczycielska Zespołu Szkół Publicznych im. Jana Pawła II w Kudowie Zdroju pokazała klasę. Mają w tym wprawę, bo charytatywne bieganie odbywało się po raz ósmy. Co ważne – biegać każdy może, bo bieg to umowne słowo. Można iść, truchtać czyli dopasować wysiłek do swoich możliwości i humoru. Zasada jest ciągle ta sama: żeby pobiec trzeba pozyskać sponsora. Biegacz daje swój wysiłek, a sponsor pieniądze. Jedna i druga strona pomaga. W tym roku hojność mieszkańców była niebywała – zebrano ponad 40 000 zł! Podopieczni Fundacji otrzymali 25 000 zł, a pozostała kwota została w Kudowie, aby pomóc w leczeniu uczniowi szkoły. Trzymamy kciuki za powrót do zdrowia.

Dziękujemy za to, że nam ufacie i jesteście blisko nas. To naprawdę wielka wartość mieć zaufanie i życzliwość takich dobrych, wspaniałych ludzi jak Wy.

Ada Kamińska
Menedżer ds. promocji i edukacji

Wielkie tchnienie życia

9 października obchodziliśmy Światowy Dzień Hospicjów i Opieki Paliatywnej. Fundacja Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci już od kilku lat organizuje tego dnia Wielkie Tchnienie Życia na wrocławskim Rynku. W tegorocznej akcji wzięło udział wiele szkół oraz grono wolontariuszy. Wszyscy zgromadziliśmy się w centrum Wrocławia, gdzie powstawał domek stworzony z ludzi. Ramy i wnętrze domku wypełniały dzieci ze szkół biorących udział w akcji oraz wolontariusze, ale również wszyscy przechodnie, którzy mieli ochotę się spontanicznie przyłączyć. Trzymaliśmy w górze balony, które powiewały od lewa do prawa.

Punktem kulminacyjnym było przeistoczenie domku w serce oraz pokaz baniek mydlanych. Tętniące serce, jak i tysiące baniek fruwających nad naszymi głowami miało na celu uświadomić czym jest życie. Jest jedno, niepowtarzalne, kruche jak bańki. Ale może być kolorowe i pełne radości, tak jak nasze serca tego dnia.

Ewa Sikora
Wolontariuszka

Bardzo lubię Wielkie Tchnienie Życia. Ono pokazuje istotę działania fundacji - dbać o chwilę, o dzień. Ważne, żeby one były dobre. Tylko to jest ważne. Co roku w puszczanie baniek angażuje się mniejsza lub większa grupa ludzi. W tym roku było nas sporo, bo i wolontariat szkolny, i pracowniczy z Credit Suisse, i nasz fundacyjny. Każdy miał zadanie, z którego się wywiązał, a plac Solny był aż niebieski i bardzo roześmiany w trakcie prac przygotowawczych. Ekipy bańkarzy z dobrego serca i „za dziękuję" zrobiły piękny pokaz dając radość dzieciakom, które próbowały pokonać siłę grawitacji, by doskoczyć do kolorowych cudeniek. Bębniarze zagrali jakby znali się od zawsze, bo poniósł ich wspólny cel i sens. Po co i dla kogo to barwne zamieszanie? Tak naprawdę dla nas wszystkich, żebyśmy na chwilę poczuli jakimi jesteśmy szczęściarzami, że obudziliśmy się dzisiaj rano i możemy oddychać, smakować i czuć. Żyć.

Ada Kamińska
Menedżer ds. promocji i edukacji

Czym jest dla mnie Srebrna Góra?

Na Dolnym Śląsku znaleźć można miejsca magiczne i niepowtarzalne. Takie, które zachwycają i takie, które zachęcają do wyciszenia i zamyślenia. Srebrna Góra jednocześnie zachwyca i zmusza do refleksji. Podczas wędrówek po tych pięknych terenach zapomnieć można na chwilę, że przyjechało się z dużego, głośnego miasta. Jest tam po prostu wyjątkowo.

A wyjątkowe miejsca warte są odwiedzenia przez wyjątkowych ludzi. Wolontariuszką w fundacji jestem od niedawna, ale wydaje mi się, że właśnie takich ludzi można tam spotkać - wyjątkowych. Praca w fundacji łatwa nie jest, a przez 363 dni w roku wolontariusze napędzani są wewnętrzną motywacją i chęcią pomocy. Tylko te pozostałe dwa dni w roku są szczególne i jedyne w swoim rodzaju. Przez te dwa dni fundacja i jej pracownicy mówią jednym głosem „dziękuję" wolontariuszom i ich pracy, a sami wolontariusze ładują się pozytywną energią. W tym roku pozytywna energia płynęła do nas właśnie w Srebrnej Górze.

Nasza przygoda rozpoczęła się w sobotę 18 października. Po całym tygodniu ulewnych dni, właśnie tego ranka zaświeciło piękne słońce. Od razu wszystkim poprawiły się humory. A z dobrym humorem i otwartą głową rozwijają sie rozmowy o pracy, o znajomych, o życiu.

W Domu pod Twierdzą w Srebrnej Górze czekała na nas ciepła herbata i gorące powitanie. Słowa Beaty Hernik-Janiszewskiej były inspirujące, ale też naładowały mnie ogromną dozą motywacji, by iść dalej i pomagać. Słysząc słowa *Bez was hospicjum nie mogłoby istnieć*, uśmiechasz się, czujesz dumę, ale też wdzięczność. Za to, że możesz być częścią tej społeczności. Za to, że pomaganie nosimy głęboko w sercu i nikt z wolontariuszy się z tego powodu nie puszy. Za to, że wśród Was jest tak normalnie, pomimo, iż jest wyjątkowo.

Pobyt w Srebrnej Górze upłynął pod znakiem szkolenia z pierwszej pomocy, zwiedzania Twierdzy i okolic, ale przede wszystkim nocnych rozmów przy ognisku. I właśnie tak poznajesz głębiej drugiego człowieka. A że dla mnie większość z uczestników wyjazdu, to ludzie dopiero co poznani, to większość z tych opowiadanych przez nich historii było nowych i ciekawych. Tylko na takim wyjeździe dowiesz się o problemach, marzeniach i codziennym życiu wolontariuszy. Tylko na takim wyjeździe zobaczysz, że Aga alias „pani psycholog", to naprawdę fajna i zabawna babka. Tylko na takim wyjeździe poznajesz twarze i wnętrza otaczających Cię ludzi.

Z tą wiedzą i doświadczeniem wróciłam do Wrocławia. Z siłą, chęcią i motywacją na kolejne 363 dni pracy wolontariusza w Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci.

Magdalena Sobiak
Wolontariuszka

To był fantastyczny weekend! Nie tylko ze względu na piękne okoliczności przyrody, słoneczną jesienną pogodę, ale dobrze spędzony czas z ekipą fundacyjną. Niedzielnym popołudniem, wracając do domu samochodem, zadaliśmy sobie pytanie, co nam się najbardziej podobało w trakcie tego weekendu. Bezapelacyjnie wyróżniam spotkanie z super bohaterkami: pielęgniarkami pracującymi w fundacji. Opowieści o trudnych chwilach, codziennych zmaganiach i śmiesznych sytuacjach wywołały sporo emocji. Dla mnie to świadectwo i jednocześnie inspiracja, jakim człowiekiem naprawdę warto być.

Asia Cirkos
Wolontariuszka

Dusza wolontariusza

Od czerwca 2014 r. zastępuję koordynatorkę wolontariatu akcyjnego w Fundacji „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci". Wcześniej byłem tu wolontariuszem. Teraz widzę działania z innej perspektywy. Ogrom włożonej pracy. Poświęcenie pracowników, lekarzy, całej służby medycznej. Słyszę głosy dzieci przyprowadzanych przez rodziców do przychodni. Prowadząc rozmowy z wolontariuszami poznaję ich motywacje, wrażenia z fundacyjnych akcji. Pracę wolontariuszy akcyjnych spostrzegam obecnie w innym świetle, podziwiam ich zaangażowanie. Patrzę jak rodzą się między nimi nowe przyjaźnie, miłości.

Lipiec i sierpień przepełnione były licznymi spotkaniami. Do Fundacji codziennie w ramach inicjatywy wolontariackiej Time & Talent Transfer przychodzili wolontariusze z firmy Credit Suisse. Pod koniec sierpnia prowadziłem moje pierwsze zebranie. Przyszło bardzo wielu kandydatów na wolontariuszy spragnionych nowych działań i pełnych energii. A pracownicy fundacji planowali kolejne jesienne i zimowe akcje.

We wrześniu dużo się działo, a to Mecz Śląsk Wrocław-Korona Kielce, piknik wolontariacki na Wyspie Słodowej, Dzień Otwarty MPK, Targi Wolontariackie, Wyścigi Smoczych Łodzi Tumski Cup, Bieg Sponsorowany w Kudowie Zdroju czy Międzynarodowy Festiwal Teatrów dla Dzieci. Należy też wspomnieć o inauguracji piątej już edycji Pól Nadziei w Sektorze 3. Październik zdominowało Wielkie Tchnienie Życia – przygotowania, jak i sama akcja tworzenia domku, a później serca i puszczania baniek do nieba już na zawsz zostanie w mojej pamięci. Przez cały czas trwa akcja Nadzieja zamiast Bukietu, w której pary biorące ślub mogą wesprzeć fundację.

Listopad i grudzień zapowiadają się interesująco. Będą akcje świąteczne, jak wyczekiwane przez wszystkich Mikołajki czy kwesty bożonarodzeniowe. To też II edycja Time&Talent Transfer. Po przerwie wakacyjnej aktywny jest wolontariat szkolny - dzieci i młodzież przekażą do naszej fundacji wykonane przez siebie ozdoby świąteczne. Szkoły i przedszkola angażują się też w zbiórkę słodyczy dla naszych podopiecznych, którzy w paczkach dostaną je na Święta. Będziemy rozprowadzać opłatki i kartki bożonarodzeniowe m.in. w Magnolia Park.

Gdy pytam wolontariuszy, co sprawia, że działają na rzecz fundacji dostaję różne odpowiedzi. *Pomoc innym w każdej postaci jest niesamowicie pozytywna. Człowiek czuje, jakby naprawiał cały świat. Potrzebujemy takich uczuć, żeby lepiej żyć. Karma - co dobrego zrobisz, wróci do Ciebie ze zdwojoną siłą. Jako wolontariusz poznajesz nowych, ciekawych ludzi. Można pożytecznie spędzić czas. Tu jest inny świat. Inne spojrzenie na drugiego człowieka.*

Czynienie dobra zaraża. Nakręca. Wciąga. Gdy świat gna do przodu czasami należy przystanąć. Czasami należy coś dobrego zrobić. Czy warto? Tak, pomaganie nakręca pozytywnie. Jak widzę poświęcenie wolontariuszy, ich zaangażowanie, bezinteresowne niesienie pomocy, dawanie siebie innym, to jestem dumny, że jest mi dane koordynowanie tak wspaniałą grupą ludzi. Ludźmi pełnymi dobrej energii i chęci działania na rzecz chorych dzieci. To właśnie powoduje, że pełen radości patrzę w przyszłość. W fundacji jest ponad 130 wolontariuszy – wszyscy pracujący w fundacji chcieliby, żeby zawsze było takie grono aktywnych pomagaczy. Każdy z nich inny, każdy odrębny. Tu są pokłady energii i tak różnych talentów. Ludzie wrażliwi na sprawy innych i tak bardzo przyjacielscy. Co ich łączy, bo jednak coś ich łączy? Każdy z nich ma duszę – duszę wolontariusza.

Jestem szczęśliwy, że spotkałem takich ludzi. Dziękuję.

Piotr Klebaniuk
Koordynator wolontariatu akcyjnego

Wrogowie w głowie – nie tylko o wyzwaniach

Życie człowieka wiąże się z różnymi wyzwaniami. Niektóre z nich podejmuje się z własnego wyboru, inne są zupełnie niezależne od naszych chęci – życie przynosi je nie pytając o zgodę. Codziennie każda osoba styka się z małymi wyzwaniami: zachowania spokoju, kiedy dziecko rozrabia lub urzędnik jest nieprzyjemny, wstania wcześnie do pracy, podjęcia monotonnych obowiązków. Są to małe wyzwania, o których się zapomina, pomija je, przyzwyczaja do nich. Są jednak i takie, na które nikt nie jest przygotowany, które spadają nagle i żądają, aby sobie z nimi poradzić. Mimo braku odpowiednich rozwiązań, mimo że wykraczają poza znane sposoby radzenia sobie. Może się wtedy wydawać, że nie jest możliwe wytrwanie w trudnej sytuacji, pojawia się smutek, chęć ucieczki, depresja. W większości przypadków okazuje się, że po jakimś czasie (dla każdego innym) znajduje się rozwiązanie lub przynajmniej sposób, aby przetrwać. Nierzadko też konsekwencjami takich niezwykłych wyzwań jest odkrycie nowych pasji, rozwój, samorealizacja.

Victor Frankl analizując swoje doświadczenia z okresu Holokaustu, zauważa nie tylko tragizm tych przeżyć, ale także osoby, które pomimo traumatycznych wydarzeń potrafiły sobie z nimi twórczo poradzić i przemienić je w coś pozytywnego. Frankl jest świadomy trzech nieodłącznych składników życia – cierpienia, poczucia winy i śmierci – wierzy jednak, że większość ludzi jest w stanie je udźwignąć i przeżyć z korzyścią dla siebie. Niezależnie od dramatycznych okoliczności, jakie przynosi życie, każdy może odnaleźć sens, idąc swoją własną drogą. Ważne przy tym, aby koncentrować się nie na niedoskonałościach, ale na zasobach – tym, co w nas dobre i ochraniające.

Nikt nie jest w stanie nadać sensu czyjemuś życiu, można jedynie pomóc go dostrzec. Dlatego tak ważne i podkreślane w psychologii jest poczucie własnej wartości – świadomość własnych pozytywnych cech, umiejętności, zdolności oraz ocena, że jest się w stanie sprostać różnym wyzwaniom. Nie chodzi tu o egoizm ani egocentryzm, w których akcent kładzie się na zachwyt własną osobą, chęć zaspokojenia wszystkich i tylko własnych potrzeb, często połączony z nieumiejętnością przyznania się do błędów, poczuciem nieomylności. Poczucie własnej wartości już w samej nazwie podkreśla istotę samego człowieczeństwa jako wartości. Każda osoba jest ważna, nosi w sobie dobro i piękno. Problemem często jest dostrzeżenie swoich dobrych stron, podkreślanie jedynie tych negatywnych i szukanie dowodów na potwierdzenie własnej beznadziejności. Może to wynikać z przekazu społecznego, który do niedawna wręcz zabraniał chwalenia siebie, mówienia o sobie w pozytywny sposób. Niezależnie od powodów warto zmieniać nastawienie wobec siebie, ponieważ ma ono wpływ na postrzeganie świata oraz przekazy pokoleniowe. Rodzice nie wierzący w siebie często nie potrafią nauczyć dzieci doceniania swoich osiągnięć. Nawet, jeśli chwalą dokonania dziecka, trudno mu w nie uwierzyć, jeśli rodzic deprecjonuje własną wartość, umniejsza sukcesy. Natomiast poczucie własnego znaczenia oraz przekonanie o zdolnościach, pomaga w skutecznym radzeniu sobie z wyzwaniami życiowymi oraz odnajdowaniu sensu nawet w najtrudniejszych doświadczeniach. Pomaga też otworzyć się na działania społeczne i niesienie pomocy tym, których dzięki własnemu cierpieniu rozumie się o wiele lepiej niż wcześniej. Stąd liczne dowody osób, które po przeżyciu tragicznych, traumatycznych zdarzeń, zaangażowały się w działania charytatywne lub prospołeczne.

Wiara w swoje możliwości pozwala na aktywność i podejmowanie wysiłku, aby sprostać wyzwaniom życiowym, zarówno tym łatwiejszym, codziennym, jak i tym niezwykłym, trudnym. Próby doceniania siebie, pozytywna ocena własnych działań, ale także realizowanie swoich zainteresowań i pasji (lub ich poszukiwanie), buduje wizerunek siebie jako wartościowej osoby, zdolnej do wielkich działań, do pokonywania przeszkód i odnajdowania sensu mimo wszystko. Sprawić też może, że człowiek będzie w stanie stawiać sobie ambitniejsze wyzwania i cele – będzie wykraczać poza siebie na drodze samorozwoju.

Najgroźniejsi wrogowie są zwykle najbliżej, we własnych myślach. Większość osób nie wierzy, że jest w stanie sprostać trudnościom, z którymi się styka, a później nie potrafi docenić swoich wysiłków i tego, że sobie poradziły. Psychologia pozytywna, której prekursorem jest wspomniany wcześniej Frankl, jest nastawiona na czynniki zachowujące człowieka przy zdrowiu, jego wewnętrzną siłę, zdolną przezwyciężyć największe trudności i traumy. Zakłada, że w każdym człowieku są cechy i umiejętności, dzięki którym jest w stanie odnaleźć sens życia. Przystosowanie przebiega inaczej u różnych osób, każdemu potrzeba też innego czasu. Walka z wewnętrznymi wrogami, z własnymi demonami może być bowiem najtrudniejszym wyzwaniem. Patrząc jednak na Frankla, Ewę Błaszczyk, Jaśka Melę i wielu innych – wydaje się, że warto podjąć wysiłek.

Agnieszka Waniczek
Psycholog

Na koniec historia z książki Jorge'a Bucay'a *Pozwól, że Ci opowiem…*:

Kiedy byłem mały, uwielbiałem cyrk, a najbardziej w cyrku podobały mi się zwierzęta. Moją uwagę przyciągał zwłaszcza słoń, który - jak się później okazało - był także ulubieńcem innych dzieci. Podczas przedstawienia to ogromne stworzenie paradowało, prezentując swój niesamowity ciężar, rozmiar, siłę... Ale po przedstawieniu i krótko przed wejściem na scenę słoń zawsze siedział uwiązany jedną nogą do kołka wbitego w ziemię.

Jednakże kołek był tylko małym kawałkiem drewna, który tkwił w ziemi zaledwie kilka centymetrów. I choć łańcuch był mocny i gruby, wydawało mi się oczywiste, że zwierzę, które jest zdolne wyrwać drzewo z korzeniami, mogłoby z łatwością uwolnić się z kołka i uciec.

To oczywista tajemnica. Co go trzyma w takim razie? Czemu nie ucieka?

Kiedy miałem pięć czy sześć lat, wierzyłem jeszcze w mądrość dorosłych. Zapytałem więc jednego z nauczycieli, zapytałem ojca i wujka o tajemnicę słonia. Któryś z nich odpowiedział mi, że słoń nie uciekł, bo był tresowany. Wtedy zadałem oczywiste pytanie? Jeśli jest tresowany, to dlaczego go przywiązują?

Nie pamiętam, abym otrzymał jakąś logiczną odpowiedź. Z czasem zapomniałem o tajemnicy słonia i jego kołku, a powracała ona jedynie wtedy, kiedy spotykałem innych, którzy też kiedyś zadali sobie podobne pytanie.

Kilka lat temu odkryłem (na moje szczęście), że był ktoś wystarczająco mądry, aby znaleźć odpowiedź.

Słoń nie uciekł z cyrku, gdyż od najmłodszych lat był przywiązywany do różnych kołków.

Zamknąłem oczy i w wyobraźni ujrzałem dopiero co narodzonego i bezbronnego słonia, przywiązanego do kołka. Jestem przekonany, że słonik ciągnął, pchał i pocił się, próbując się uwolnić. I mimo, że użył wszystkich swoich sił, nie udało mu się, ponieważ wtedy kołek był dla niego za solidny.

Wyobraziłem sobie, że zasypiał ze zmęczenia i że następnego dnia próbował znowu, i kolejnego dnia, i kolejnego... Aż nadszedł dzień, który odbił się strasznie na historii słonia, dzień, w którym zwierzę zaakceptowało swoją niemoc i zdało się na swój los.

Ten potężny i silny słoń, którego widzimy w cyrku, nie ucieka, ponieważ biedaczysko nie wierzy, że może. Ma w sobie utrwalone wspomnienie niemocy, którą przeżył krótko po przyjściu na świat. I najgorsze jest to, że nigdy więcej nie zakwestionował poważnie tego wspomnienia.

Nigdy, nigdy więcej nie starał się ponownie wypróbować swoich sił...

Jorge Bucay

PROMYKI dobrej zabawy

JESIENNE ZAGADKI

Co to za dama złoto-czerwona?
Dzięki niej zmieniona drzewa korona.
A kiedy odchodzi w dalekie kraje,
to śnieżna pora po niej nastaje.

(jesień)

Trochę smutny ten miesiąc,
bo ptaki odleciały.
Ostatni liść też opadł.
Deszcz też ciągle pada, bo to jest...

(listopad)

Żółte i czerwone spadają z drzewa.
Wiatr je w różne strony rozwiewa.

(liście)

JESIENNE CIEKAWOSTKI

Dlaczego liście zmieniają barwę jesienią?

Promienie słoneczne sprawiają, że w liściach powstaje zielony barwnik, czyli chlorofil i dlatego są one zielone. Jesienią, kiedy zbliża się zima, słońce świeci coraz krócej. Powstaje więc coraz mniej barwnika. Wtedy główną rolę w tworzeniu barw liścia odgrywają inne barwniki, np. karoten czy ksantofil, które znamy z marchewki, papryki czy dyni.

Dlaczego ptaki odlatują na zimę do ciepłych krajów?

Główna przyczyna ptasich odlotów to brak możliwości zdobywania pożywienia. Wiele ptaków żywi się owadami czy pająkami, które na czas zimy ukrywają się w swoich kryjówkach. Brakuje również owoców i nasion. Dlatego bardzo ważne jest dokarmianie tych ptaków, które zostają na zimę w Polsce.

Dlaczego drzewa zrzucają liście?

Utrzymanie liści dla drzew jest dość kosztowne, gdyż liście w dużym stopniu składają się z wody. Jesienią drzewa zrzucają liście, aby nie tracić przez nie wody w czasie zimy. Sygnałem do zrzucenia liści jest dla drzew długość dnia. Jesienią dni stają się krótsze i wtedy między liściem, a gałązką drzewa tworzy się przegroda, która sprawia, że do liścia przestaje dopływać woda. Liść usycha i przy podmuchu wiatru odpada od gałęzi.

Skąd ptaki wiedzą, że czas odlecieć?

Na tę decyzję wpływa przede wszystkim coraz mniejsza ilość pożywienia oraz niska temperatura powietrza. Jednak prawdopodobnie największą rolę odgrywa długość dnia. Im bliżej zimy, tym coraz krótsze dni. Te zmiany to dla ptaków kalendarz - dlatego wiedzą, kiedy czas na ich podróż.

HOSPICJUM PERINATALNE
Przy Fundacji Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci

Jeśli oczekujecie narodzin ciężko, nieuleczalnie chorego dziecka możecie skorzystać z opieki hospicjum perinatalnego. Zapewniamy kontakt ze specjalistami z zakresu genetyki, neonatologii, ginekologii i położnictwa, pediatrii, medycyny paliatywnej, a także z doświadczonymi pielęgniarkami i położnymi. Oferujemy też pomoc psychologiczną, duchowa i socjalną. Aby się umówić prosimy o kontakt mailowy hospicjum.perinatalne@hospicjum.wroc.pl lub telefoniczny 728 922 934.

FUNDACJA Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci

Jeśli Twoje dziecko jest poważnie chore zgłoś się do nas. Prześlij podanie z określeniem oczekiwanego zakresu pomocy, dołącz epikryzę lekarską (ostatni wypis ze szpitala lub zaświadczenie lekarskie). Nie zapomnij o pełnych danych dziecka (imię, nazwisko, pesel) i swoich danych kontaktowych, adres, telefon, e-mail. Skontaktujemy się, żeby ustalić termin wizyty lekarskiej.
tel. 511 450 966, podanie@hospicjum.wroc.pl

PRZYCHODNIA specjalistyczna

Przychodnia dla dzieci nieuleczalnie i przewlekle chorych jest miejscem udzielania porad lekarskich z wybranych dziedzin pediatrii dla dzieci z poważnymi schorzeniami przewlekłymi (nie tylko dla podopiecznych Fundacji WHdDz). Dostępni specjaliści: neurolog dziecięcy, gastroenterolog dziecięcy, genetyk kliniczny, pediatra, medycyna paliatywna.
Przychodnia czynna jest w środy i czwartki w godzinach 15:30-18:30. Rejestracja: tel. 511 450 927 lub przychodnia@hospicjum.wroc.pl w treści maila należy podać imię i nazwisko dziecka, datę urodzenia, diagnozę choroby przewlekłej oraz rodzaj koniecznej konsultacji.

Pomoc, którą świadczy Fundacja Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci jest całkowicie bezpłatna dla rodzin.

W sprawach związanych z organizacją działań na rzecz naszych podopiecznych, darowizn, udziału w akcjach, wsparcia finansowego i materialnego prosimy kontaktować się z pracownikami Fundacji.

Beata Hernik-Janiszewska, tel. 795 524 910,
beata.hernik@hospicjum.wroc.pl

Ada Kamińska, tel. 795 524 913,
ada.kaminska@hospicjum.wroc.pl

dołącz do nas /wroclawskie.hospicjum

FUNDACJA Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci
www.hospicjum.wroc.pl

ul. Jedności Narodowej 47/47a/49a, 50-260 Wrocław
KRS 0000287982, NIP 894-292-33-64, REGON 020598370
tel. 71 367 51 09, fundacja@hospicjum.wroc.pl
Chcesz pomóc?
Nasz numer konta w mBank S.A. 69 1140 1140 0000 2052 8800 1001

WSPIERAMY DZIECI DOLNEGO ŚLĄSKA

ISSN 2082-0313